



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Wśród wszelakich przyjemności, jakie przyniósł z sobą ubiegły miesiąc Czerwiec, znalazły się również i rozmaite popisy szkolne i inne na zakończenie roku.

W gymnazyach i na pensjach rozdawano świadectwa z promocją i bez promocji, słodząc lub soląc dzieciom naszym wakacje następne; w instytucjach wychowawczych, u głuchoniemych i ociemniałych np. lub u muzycznych odbywały się doroczne akty z udziałem szerokiej publiczności.

Po paroletniej przerwie wznowiono również w tym roku wycieczkę zbiorową do Studzieńca na examen małoletnich przestępców.

O tem wszystkim szanujący się kronikarz wniwnie wspomnieć kilku słowy, jako o tematach bieżącej chwili, tem bardziej, iż lepszego i świeższego materiału niewiele mu dostarczyły ostatnie dwa tygodnie.

Przyznaję się, że byłem na popisie i instytutu muzycznego i nie mogłem wysiedzieć do końca; nie przeszkadzała mi do tego muzyka, ani to, co widziałem i słyszałem na estradzie; przeszkadzało mi nieznośnie tropikalne gorąco w salach re-dutowych, o których wentylacji lepszej przy zamierzonej właśnie restauracji Teatru Wielkiego należałoby jednocześnie pomyśleć.

Gdyby na instrumentach grały anioły z rafaelowskiej św. Cecylii, a śpiewały murillowskie bambina ze skrzydełkami, pewnoby było trudno wytrzymać w takiej temperaturze wysokiej, w której bardziej piekło, niż niebo się przypomina.

Ale popisy instytutu muzycznego zawsze utrzy-

mywały tradycją trzech plag na popisach: nieznośnego gorąca, ogromnego tłoku i sążnistego programu.

Dużo rzeczy zmieniło się w instytucie, zaczawszy od ustąpienia w połowie roku dyrektora Zarzyckiego, jednak trzy powyższe plagi pozostały bez zmiany.

Tegoroczny popis przekonał mnie, że muzyce poświęca się w Warszawie wiele panien ładnych i mniej nadobnych, którym bardzo do twarzy w białych sukniach, tudzież wielu młodych ludzi nie ułożonych jeszcze dostatecznie do fraka, a grających na rozmaitych instrumentach, z których szczególnie zainteresował mnie klarnet i cztery puzony.

Co do talentów, nie powiem, aby ich wiele liczyło nasze konserwatorium, a już o wybitniejszych w tym roku pytać nawet nie można, ale za to instytut nie jest odpowiedzialnym, bo geniuszów na obstalunek sprowadzać sobie żadna szkoła nie potrafi. Nie wyjdzie zatem z tego zastępu uczniów żaden artysta w poważniejszym charakterze, ale wyjść może sporo muzyków rutynowych, metrów fortepianu przeważnie i artystów orkiestrowych. Największą bowiem niespodzianką popisu, był występ zbiorowy uczni szkoły instrumentalnej pod kierunkiem Stanisława Barcewicza—przepraszam: profesora Stanisława Barcewicza, bo w tym wypadku tytuł ten urzędownie należy się znakomitemu naszemu skrzypkowi.

Rzeczywiście, p. Stanisław popisał się i służył najzupełniej na oklaski, jakie mu w charakterze dyrygenta i instruktora uczniowskiej orkiestry sypano; mógłby to być największy na razie rezultat całej działalności naszego konserwatorium, gdyby jej zawdzięczać można dobrze wyćwiczonych i przygotowanych należycie członków poważnej orkiestry, na którą, poza orkiestrą operową w Teatrze Wielkim, Warszawa dotychczas zdobyć się nie mogła.

Obecnie zanosi się na to; już z tego zawiązku, jaki istnieje w Instytucie muzycznym, możnaby z czasem wykształcić poważne zbiorowe „ciało grające,” które nawet pod pałeczką jakiego Hansa Richtera lub Bülowa mogłoby się następnie z powodzeniem popisywać.

W ostatnich kilku tygodniach zresztą dwaj młodzi ludzie pp. Konopasek i Łusakowski postanowili dokazać cudu tyle razy w Warszawie nieudalego i zorganizować własną, prywatną orkiestrę, któraby nam zastąpiła Bilsego i Fliegego ewentualnie.

Pierwsze próby udały się pomyślnie; spółka dyrektorska z dużym zasobem energii, wiary i dobrych chęci przystąpiła do czynu, i oto mamy już w Dolinie Szwajcar-kiej koncerta tej specjalnie warszawskiej orkiestry, która powstała na poczekaniu. a gra niemal z każdym dniem coraz lepiej i zapowiada w ciągu roku najwyższy postęp znakomity.

Dotychczas programata tych koncertów mają cechę więcej popularną, niż artystyczną w znaczeniu poważnego traktowania sztuki, ale powoli zamiast tańców i lżejszych utworów będziemy mogli usłyszeć i symfoniczne kompozycje.

Niechno tylko pod dobrym kierunkiem zgrają się i zestroją wszystkie instrumenta, a pp. Konopasek i Łusakowski postarają się o to niewątpliwie, niech w wykonaniu uwydatni się jeszcze lepiej cieniowanie efektów, co już teraz zaczyna być zaletą grającej drużyny,—to z czasem pozyskamy prawdziwie koncertową orkiestrę, która nam pozwoli obejść się bez obcych bogów, budujących sobie, jak Bilse, własne wille za pieniądze wywiezione z Warszawy.

Tylko publiczność nasza powinna zrozumieć swój obowiązek i popierać usiłowania swoich dyrektorów, powinna zestroić nieco na początek wygórowane wymogi, z jakimi występuje zwykle wobec własnej sztuki, własnych talentów i pracy na rozmaitych polach. Dzisiejsza

tymczasowa pobłażliwość będzie tylko kredytem na rachunek przyszłości.

Niestety, my „prassa, krytyka, publiczność,“ my „opinia publiczna“ — mamy jedną wielką wadę: niedowierzamy swoim i mamy zły zwyczaj nowe sisko wieszając na kolku, stare odrzucać wrzucać pod ławę, chociażby jeszcze było wcale dobrem i użytecznem.

Nowość nas bawi i zajmuje, jak dzieci, nakrótka, pierwsze wrażenia przyjmujemy najgłębiej, ale potem ostygamy w zapale i obojętniejemy dla wszystkiego, co nas z początku zajmowało.

Smutny los bywa też u nas bohaterów dnia wczorajszego; dzisiejszych często wywyższamy nad zasługę, aby jutro o nich zapomnieć i zaprzeć się swojego dla nich entuzjazmu.

To samo, co dzieje się z ludźmi, dzieje się także ze sprawami publicznej wagi. Dzisiaj zajmują wszystkich, jutro mało już kto się nimi troszczy.

Po kilkoletniej przerwie zarząd osad rolnych w Studzieńcu wrócił do popisów wobec zaproszonych przedstawicieli intelligencji miejskiej; pierwsza wycieczka odbyła się 27 z. m., wzięło w niej udział kilkadziesiąt osób, aby przypatrzeć się postępowi w urządzeniu zakładu i pracy nad umoralnianiem złąkanych wychowanków.

Obecnie 150 małoletnich przestępców znajduje się w poprawczych koloniach; według zdania sprawozdawców, fizyczny ich stan nie odpowiada moralnemu, dusze zdrowieją, ale w ciałach wątłych i słabowitych. To dziwna: za dawnych lat szło to jakoś w parze, chłopcy po dłuższym pobycie w Studzieńcu, nabierali i lepszego wyglądu, i poprawiali się pod względem złych skłonności. Praca na świeżem powietrzu służyła im widocznie, a dzisiaj chorują; podobno brak dobrej wody i lepszej wentylacji w mieszkaniach jest przyczyną tej niekorzystnej zmiany.

Przewodniczący w zarządzie prof. Miklaszewski oświadczył, iż poczynione zostały starania w celu otwarcia jaknajrychlej przytułku rzemieślniczego dla dziewcząt, który jest wielce pożądanym a mógłby być bardzo pożytecznym.

Tak długo słyszymy już o tem...

Wyskrobując resztki z notatek moich o ubiegłym karnawale letnim, winienem wspomnieć o powodzeniu „Wianków“ tegorocznych, które różniły się od poprzednich tem, że podobno poraz pierwszy udało się urządzić je w samą wigilią św. Jana i dotrzymać właściwego terminu.

Pogoda wyjątkowo sprzyjała, tłok na brzegach i na moście był też większym, niż kiedykolwiek i „Macierzyństwo“ z oświetlonej czarowni blaskami księżycy i ogni sztucznych Wisły, wyłowiło sobie podobno wcale pokątną złotą rybkę w postaci dochodu, jaki mu Towarzystwo wioślarskie z „Wianków“ odstąpiło.

Obowiązek każe mi wspomnieć też o powodzeniu tegorocznych wyścigów „naszych dzielnych wioślarzy,“ których wrażenie zatarło w umyśle naszych sportsmenów wszelkiego kalibru sromotne *fiasco* cyklistów warszawskich, pobitych przez... łódzkich współzawodników.

Jedyną pociechą Warszawianina żadnego rozrywki w czasach konstellacji ogórka i psa ziewającego z nudów, — są obecnie ogródki.

„Dzisiejsza Warszawa“ staje się tak mało zajmującą i anemiczną, że nawet wprowadzona na scenę przez p. Rajsteina, jako najnowsza nowość repertoaru Wodewilowego, przedstawia się bez humoru i werwy; autorowi udało się mimo woli stworzyć sztukę sezonową, w której odbiła się pustka ogórkowej pory i przednówka.

Nieśmiertelna „Podróż po Warszawie,“ nieboszczyka Szobera, nie daje spać spokojnie jego naśladowcom; co roku ktoś próbuje wskrzesić tradycją pierwszej polskiej oryginalnej „bomby“ na scenie ogródkowej i bomba pęka, jak bańka mydlana, po której zamiast huk, dymu i popiołu, zostaje kropla brudnej wody.

Szobera, klótego ostremi piórami Zoilów za życia, rehabilitują po śmierci jego pogrobowcy i przekonują nas coraz bardziej, że bez talentu, humoru i dowcipu nie można stworzyć nawet bladej kopii pierwowzoru.

Nie chodzi już o talent, ale choćby o talencik,

któryby na ten słup konkurencyjny wydrapał się samą zręcznością i ściągnął przywidłe laury ogródkowego bohatera.

W Belle-Vue widziałem obraz sceniczny p. Staszczuka, autora „Nocy Świętojańskiej“, który szczęśliwie łączy pióro dramaturga... z pilnikiem ślusarza.

Ostatnia jego praca nosi tytuł: „Dziedzictwo orłów“ i świadczy o postępie i dojrzewaniu zdolności tego ludowego pod każdym względem pisarza. Stosunki wiejskie, dwór i chata, dziedzic i gromada, połączenie dwóch żywiołów i dwóch warstw społecznych dostarczyły p. Staszczukowi materiału do sztuki, napisanej z efektem melodramatycznym, ale z głębszą myślą przewodnią i sympatyczną dążnością.

Zdaje się, że najtrwalszym nabytkiem ogródkowego repertoaru będzie wszelako przeróbka „Szkiców węglem“ Sienkiewicza, które w dramatyczną formę ujęła szczęśliwie dobrana spółka literacka p. Mellerowej i Galasiewicza.

Przeróbka nosi tytuł: „Pan Zołzikiewicz“ i podobno w tym jeszcze miesiącu ukaże się na scenie.

W Krakowie tymczasem rozpisano nowy konkurs na sztukę ludową z rodzajem plebiscytu; komitet konkursowy wybierze najgodniejsze utwory, teatr krakowski wystawi je w ciągu tygodnia, a publiczność na kartkach po przedstawieniu głosować będzie: komu przyznać należy nagrodę.

Nie jest to sposób bardzo praktyczny, choć jest oryginalny, bo wynik głosowania zależnym się staje od przypadku, nagrodę udzieli sędzia nie zawsze najkompetentniejszy; od składu publiczności na danem przedstawieniu zawisła słuszność lub niesłuszność werdyktu, chybaży rozdawano bilety imienne tylko wybranym przedstawicielom samej intelligencji i dobrego smaku.

Nie należy zapominać, co powiedział Heine o publiczności teatralnej: „Publiczność wielu ludzi skupia, dlatego mądra jest i głupia.“...

Co będzie, jeżeli przypadek skupi w areopagu teatralnym tę drugą?... nie zazdreszczę autorom, których taka zawodna powaga sądzić będzie na pierwszym przedstawieniu.

W ogóle nie zazdreszczę u nas niczego autorom dramatycznym, zaczawszy od krytyki i honoraryów, a skończywszy na oklaskach publiczności; krytyki nie strawią, z honoraryów nie wyżyją a oklaskom zaufać nie mogą.

Mówmy o czemś przyjemniejszym...

W ostatnich dniach mieliśmy kilka koleżeńskich zjazdów i parę jubileuszów; wychowanki rozmaitych szkół i zakładów naukowych, po dłuższym przeciągu czasu zateknili do siebie i do wspomnień swojej młodości. Po dwudziestu pięciu latach, po dziesięciu, spotkali się, uścisnęli, wznowili dawną przyjaźnią, zacieśnili znowu rozluźnione przez czas stosunki i dłoń w dłoń, ramię przy ramieniu, spędzili z sobą jeden dzień wspólny. To tak potrzebne człowiekowi, tak miłe sercu, powrócić do przeszłości, odżywić się jej uczuciami, przypomnieć sobie jej wrażenia... i przekonać się, co jeszcze w sobie i w drugich z niej pozostało.

Z jubileuszów wspomnieć należy uroczyste obchodzoną rocznicę fundacji kościoła św. Kazimierza na Nowem Mieście i założenia w Warszawie pierwszego klasztoru p.p. Sakramentek, które przed laty dwustu sprowadziła do Polski Marya Kazimiera Sobieska, małżonka Jana III. Mniszki francuskie miały oprócz życia kontemplacyjnego zajmować się kształceniem panien szlacheckiego pochodzenia w naukach i robotach ręcznych, a głównie rozpowszechniać u nas znajomość języka francuskiego.

Ta ostatnia ich zasługa z biegiem czasu i zmianą stosunków politycznych i towarzyskich więcej złego, niż dobrego mimowoli przyniosła; francuszczyzna za głęboko zapuściła u nas korzenie w język, a później w obyczaje, że dzisiaj trzeba by chyba założyć jaki zakon, któryby wytępił chwasty i odfrancuział nas znowu.

Skromniejszy jubileusz miało prawo obchodzić Towarzystwo zachęty do sztuk pięknych; w dniu 3 Lipca b. r., upłynęło lat trzydzieści od urzą-

dzenia pierwszej krajowej wystawy obrazów w Warszawie, jako owocu solidarnego złączenia się i zorganizowania młodego pokolenia ówczesnych artystów, którzy postanowili bronić interesów własnych i interesów sztuki, zagrożonych spekulacją zagranicznych handlarzy.

W półtora roku po wystawie założono towarzystwo istniejące do dnia dzisiejszego i prosperujące coraz pomyślniej; dzisiaj posiada przecież galerię obrazów i „Salon“ nieustępujący tak bardzo pod względem urządzeniu zagranicznym. A zaczęło się to wszystko w trzech pokojach pałacu Mokronowskich przy zbiegu ulicy Królewskiej z Krakowskim Przedmieściem.

Pierwszy komitet stanowili prawdziwi miłośnicy sztuki i prawdziwi, nie pozorni jej znawcy: Rastawiecki (vice-prezes) Kraszewski, Przędziecki, Kasztelan Dembowski, Karnicki i Stanisław Zamoyski, kassyerem był Alfred Schouppé.

Według świadectwa jednego z najzasłużeńszych współpracowników i inicjatorów całego dzieła, Wojciecha Gersona, komitetowi temu zawdzięczać należy całą prawie administracyjną organizację Towarzystwa, oraz pierwsze zasadnicze interpretacje ustawy.

Towarzystwu i głównym jego przedstawicielom należy się uznanie za pożyteczną działalność w ciągu trzydziestoletniej blisko egzystencji; zachęcało ono rzeczywiście w granicach możliwości swojej i wzbudzało zamiłowanie do sztuki, a dzisiaj jest już na drodze do rozszerzenia swych podstaw, zwłaszcza gdy dojdzie do skutku projekt budowy własnego gmachu Towarzystwa, na który-to cel ze składek dobrowolnych i zapisów zebrało się już około 90.000 rs.

Niezaprzeczonego to postępu, pozwalającego dobrze wróżyć o przyszłości.

Przed trzydziestu laty nie mieliśmy jeszcze sztuki we właściwym jej znaczeniu, nie mieliśmy czem się szczycić, ani czem popisywać, trudno było o wystawę obrazów; a dzisiaj mamy dwie stałe galerie, wypełniane nieustannie dziełami coraz liczniejszych i niepospolitych talentów.

Oprócz obu „Salonów“ powstał trzeci, prywatnymi środkami i zabiegami; spółka artystyczna, na której czele stanęli p.p. Martynowski i Pawłowski, zawiązała się w celu rozpowszechniania dzieł sztuki stosowanej we wszelkich kierunkach, jak niemniej uszlachetniania artystycznego poczucia w dziale malarstwa, rzeźbiarstwa i snycerstwa dla ozdoby kościołów.

Nie dość, że mamy znakomitych mistrzów, nawet genialnych, którzy są chlubą całego społeczeństwa, nie dość, że podziwiamy ich dzieła i szcycimy się nimi wobec całego świata: potrzeba, ażeby ich talenta i ich utwory wywarły wpływ na ukształcenie smaku i rozmiłowania w prawdziwym pięknie szerokich mas, ażebyśmy poczuli wstręt do tego, co brzydkie, niekształtne i dziwaczne, i nabrali znawstwa.

Stanie się to powoli, ale stać się musi przy pielegnowaniu sztuki i ciągłym, a energicznym jej popieraniem.

Zacniemy przyozdabiać częściej nasze mieszkania prawdziwymi obrazami i rzeźbami, zamiast oleodruków i gipsowych bałwanów; zacniemy zamiast bohoma zów na ołtarzach, feretronach i chorągwiach kościelnych umieszczać malowidła artystycznej wartości, zacniemy smakować w pięknych gracikach i dążyć do ozdabiania wszystkiego, nawet prostych sprzętów i rzeczy codziennego użytku.

To będzie wynikiem wpływu sztuki stosowanej i do tego winniśmy dążyć, uszlachetniając swój smak i estetyczne pojęcia.

Ta Warszawa naprawdę staje się wielkiem miastem europejskiem, nie dlatego tylko, że coraz częściej zaglądają do niej zagraniczni turyści i że z Badackerem w ręku zjeżdżają do nas Amerykanie i Anglicy, że maluczko a będziemy mieli kanalizację i wodociągi, jak pierwszorzędną stolicę, że... że... i że nabieramy fizjonomii coraz przyzwoitszej na oko — ale że nawet doczekaliśmy się własnej rulety w murach syreniego grodu.

Wykrył ją sylf *Kuryera Codziennego* i opisał.

Tego nam tylko brak, abyśmy sobie Monacho założyli na własnym gruncie i stwierdzili ubliżające zarzuty ks. Bismarka!...

Zwyczajna szulerka nie wystarcza już naszym złotym i pozłacanym młodzieńcom, karty i zielony stolik zamało dają sensacyi marnotrawcom i utracyuszom, szukającym w próżniaczym żywocie wrażeń coraz silniejszych: potrzeba im hazardu na wielką skalę.

A jaki rezultat z tego wszystkiego?... przybędzie nam więcej rozbitków, więcej zmiętych i wyszarganych ichmościów, którzy stanowią osobny rodzaj proletariatu salonowego, więcej kandydatów do stryczka i kuli rewolwerowej.

Odwróćmy oczy ku czemuś czystszyemu i szlachetniejszemu; oto na ścianie kościoła po-Pijarskiego, zabłysnęło popiersie znakomitego poety naszego z przed laty dwustu.

Dzięki inicjatywie p. Grąbczewskiego a staraniom Ludwika Jenikego, byłego redaktora *Tygodnika Ilustrowanego*, wystawiono i odsłonięto nareszcie pomnik, poświęcony pamięci i ku uczczeniu Kazimierza Sarbiewskiego.

Pan Jan Kryński, zaszczytnie znany artysta-rzeźbiarz, z marmuru i bronzu wykonał całość poważną i dzieło prawdziwej wartości; pomnik ma około sześciu łokci wysokości, a dwa szerokości.

Laureat Urbana VIII-go, którego natchnione ody w języku łacińskim pozostały wzorami poezyi naszej z epoki makaronizmu, spogląda rozumnie i poważnie z pomnika i zdaje się do dzisiejszego pokolenia przemawiać podniosłemi słowy:

Na skale karpackiej rznę słowa,
Niechaj je czytają potomni,
Dziewica niech w pieśniach je wspomni,
A dziecię w pamięci zachowa.
Polacy! nic z waszych mozolów;
Że zamki muruję tak szczytnie,
Gdy Boża świątynia mchem kwitnie,
I zielsko na dachu kościołów.

Gdy służby rozdzielne są Boże,
Gdy serce nie w jedno kołata,
Gdy naród się w wierze nie zbrata,
Nie wiele mu wszystko pomoże...

Quis.

CZŁOWIEK UCZCIWY.

(Dokończenie).

Uczciwość tylko daje nam spokój wewnętrzny. Tylko człowiek uczciwy jest w zgodzie ze sobą i przeznaczeniem swoim, poza które nikt i nigdy nie wybił się bezkarnie. Może on nie dbać o nie, przecież prawa rządzące światem nie przestają istnieć dla niego i wszystko ulegać im musi—tak to, co się do nich stosuje, jak to, co je gwałci. Kto chce żyć poza niemi,—staje się istotą, sprzeczącą się z normalnemi warunkami swego bytu, nieposiadającą w sobie równowagi. Tak roślina, wegetująca w cieniu, zdala od promieni słońca, trawi w sobie siły, nie mogąc rozwinąć się naturalnie. Zdolności nieużytkowane, wypaczają się w niej i cierpi ona w tej niezgodzie istnienia swego z przeznaczeniem.

Powtarza się się to na człowieku, gdy występuje poza przyrodzone mu koło uczciwości. Siła, której powinien być użyć na dobre, dręczy go głucho. Nosi on w sobie potężny instynkt, wspólny wszystkim istotom żywym, popychający do pełnego i całkowicie rozwiniętego życia, a nie mogąc go zadowolnić—cierpi. Gdy namiętność, której się pozwala pochłaniać, przestanie go odurzać, gdy wejdzie w siebie, zrozumie się—uczuje niesmak wewnętrzny, którego nie usunie, ani stanowisko, ani majątek, bo to jego natura ludzka

protestuje w nim. Nie jest szczęśliwy, bo zmiął się z celem swoim.

Jak silna jest celowość w naturze dowodzi, to że cel spełniony odziera pięknością. „W koniu piękną nam się zdaje jego lekkość muskularna, która chyżość jego przedstawia; wół jest pięknym przez budowę, objawiającą siłę potężnego karku, które jarzmo pługą nosi, tak jak wdzięk latorośli winnej, która powinna się chylić ku nam z gronami swojemi, polega na jej elastycznej giętkości, wijącej się koło podpory swojej, gdy drzewo piękne jest przez pień swój prosty i silny, mający być nam słupem domowstwa, lub masztem okrętu.“

Natura cała głosi to, że jest przed każdą istotą żywą cel jakiś, dany przez moc stwarzającą, i gdy ogarnia nas zniechęcenie, gdy tracimy pragnienie dążenia do naszego celu do wyższej coraz cnoty, — do natury powinniśmy się zwrócić, aby odzyskać to na nowo. Spójrzmy na świat, a ujrzymy, jak w całym ogromie swoim pracuje on nieustannie, aby ulepszyć się i upięknąć. Czy ziemia była taką jak jest dziś, czy rodziła zawsze te same twory, i ludzkość czy się nie podniosła i wyszlachetniała? Od półzwierzęcia doszła do półboga, pracując, zdobywając, i przekazując następcom te wszystkie zdobycze swoje liczne i mozolne. Wszystko w naturze dąży wciąż do dobra, piękna, doskonalenia się: i to jest ogólny cel stworzenia, wśród którego człowiek w harmonii z przeznaczeniem powszechnem tak samo postępować musi. — „Le spectacle de l'univers nous inspire la conscience de notre destinée...“ woła autor.

Ale uczciwość daje nietylko zadowolenie wewnętrzne: ułatwia ona jeszcze i upięknia życie w sposób inny—zyskuje nam miłość ludzką. Człowiek potrzebuje jej — tego współczucia bliźnich swoich: trzeba mu nietylko kochać ale i być kochanym i brat starszy pyta o to młodzieńca: „Zbadaj się, czy tajemnem pragnieniem twojem nie jest otrzymać miłość ludzką?... Czy nie czujesz, że najśłodsza rzeczą na ziemi jest mieć wokoło siebie serca kochające? Wszystko staje się nam łatwem, gdy wspiera nas sympatya ludzka!...“

A jak ją uzyskać? Takim tu jest urok cnoty, że nawet sam już występki nieraz kładzie maskę uczciwości, aby przywłaszczyć sobie korzyści ztąd wypływające. Fałsz, chciwość, zazdrość, twardość i zimno serca, nie śmia ukazywać się z twarzą odkrytą i lekceważyć moralnego instynktu człowieka. Wiedzą, że budzą wstręt i klamię, przybierając pozory uczciwości. Ale nie daje się to długo utrzymać, i fałsz zdradza się zawsze, bo jest interessem ludzi, aby wiedzieć prawdę. Przyjaźń z uczciwym człowiekiem, daje nam spokój miły; wiemy z pewnością, jakim będzie jego postępowanie z nami, ponieważ wiemy, że będzie on wiernym obowiązkomu swojemu — że będzie szczerym i sprawiedliwym, gdy pewności takiej nie mamy, nigdy z człowiekiem przewrotnego charakteru.“

„Idąc w drogę czy brałbyś do podparcia się kij mocny, czy gałąź spróchniałą? I czyż inni mają czynić inaczej. Każdy z nas potrzebuje uczciwości ludzkiej i każdego pociąga ona ku sobie. Człowiek uczciwy czuje się w harmonii ze światem bliźnich swoich, a jego przeszłość czyta uspakajająco co do przyszłości. Jest on podobnie w porządku i z bliźniemi swoimi. Kładzie się spać z sercem spokojnem i, nie lękając się poranku ma sen nie zakłócony.“

„Ale opinia ludzka to nie wszystko jeszcze, jakkolwiek jest to bardzo wiele. Szacunek otaczający nas czyni nam słodsza cnotę naszą, ale strzeż się czynić sobie z głosów świata reguły postępowania, umiej podnosić się ponad to, i wiedz, że dla mędrca jest to tylko dodatek, ale nie rzecz główna. Pilnuj przede wszystkim tego, abyś zyskał własny swój szacunek, i najwyższą ambicyą swoją niech będzie zgoda z sumieniem. Czyń dobrze tak, jak ptak śpiewa, jak bluszcz pnąc się po murze, jak kwitną róża polna, jak fiołek woń wydaje — ulegając prawom, które jest w tobie, bez żadnej innej pobudki, in-

nej rozkoszy i zysku, nad uczucie spełnionego nakazu twojej uczciwej natury.“

„Miej to zawsze na myśli, że dopóki dobro bliźnich twoich nie będzie ci tak drogiem, jak własne, póki nie będziesz kochał bliźniego twego, jak siebie samego, póty nie będziesz człowiekiem rzeczywiście uczciwym, póty nie będziesz — nie będziesz mógł być żywym członkiem ojczyzny twojej — dobrym synem Francji. Zamiłuj dobro, staraj się uprawiać duchową twą istotę tak, jak ogrodnik uprawia ogród; staraj się oddawać ludzkości i współziomkom twoim cnotą to, co dostajesz od ludzi, od ziomeków od kraju twego w dobrodziejstwach otrzymanych przez prace dzisiejszych i przeszłych pokoleń, a wtedy dopiero ty, człowiek uczciwy, będziesz i uczciwym: dobrze, skutecznie ziemię rodzinną kochającym synem—będziesz patriotą.“

„Weź to sobie w umysł głęboko, że treścią tego uczucia uczciwości, na którym się patriotyzm opiera, jest sprawiedliwość, nakazująca oddać przyszłości to, cośmy od przeszłości otrzymali, i pracować wraz z ogółem swoim na tej zasadzie, że wspólne tu są dobra posiadane i zyski z nich ciągnięte. Kto korzyści pracy ogólnej używa, nie dokładając się nic do ich wytworzenia, jest pasożytem i wobec społeczeństwa swego niewypłacającym się dłużnikiem. Aby tak nie było, abyś mógł uchronić się od stanu takiego, potrzeba ci uczynić samego siebie narzędziem, zwyciężającym przeszkodę, zawałającą tu drogę twoją.“

Pierwszą z nich jest niewiedza. Prosta roztropność wskazuje, że trzeba ci oświecić się w tych wszystkich przedmiotach, których wiedza jest dobremu obywatelowi potrzebną. Zakres wiedzy tej jest rozległy, ale nie zraża się odważny i pragnący dojść do celu. Gwałt namiętności, które nieraz podbijają sobie, pochłaniają ludzi mocnych i zdolnych walczyć z niemi zwycięsko, to przeszkoda druga i wielka, ale jest na to powściągliwość uczciwa, która takiego upadku nie dopuszcza, nie należy tylko przyzywać jej na pomoc dopiero w godzinie ostatniej, bo wtedy może już być zapóźno na opór, tak jak w cytadeli, do której środka nieprzyjaciół już się dostał. Trzecią—ogromną, —ogromną na tej drodze przeszkodą, jest zniechęcenie, które ogarnia ludzi w czasach ciężkich, wśród położań trudnych, nużących; ale od tego jest moc ducha i siła charakteru, aby stanowi takiemu nie uległ. Niedolność, maluczość nasza wobec tak wielkiego zadania, bywa dla mnóstwa ludzi przeszkodą najważniejszą, ale natura czynna, przy prawdziwej, niepowierzchownej chęci służby publicznej, zawsze dostarczy ci środków działania, odpowiadających stopniu sił twoich.“

Możnaby tu na pokrzepienie duchowe pracowników pokornych i zdolnych podejmować tylko drobne jakieś prace, przytoczyć nakaz moralny naszego poety: „Czyń każdy w kółku swoim co każe Duch Boży, a całość sama się złoży...“

Autor francuzki ma to samo na myśli, gdy wykazuje znaczenie pracy jednostek wspólnie do jednego celu dążących. Podaje też metodę postępowania, która jest dla wszystkich i żąda, aby jej nie lekceważyć. —To już jest cnota, aby nie było zdaniem na łaskę i niefasę przypadku.“

„Najpierw ucz się dobrze myśleć, nie zadawaj się powierzchwną rzeczą, zstępuj do głębi, czyn sobie jasne pojęcie o tem, co poznajesz, abyś mógł wiedzieć z pewnością, gdzie jest złe, a gdzie jest dobre. Niech ucho twoje będzie otwartem na rady rozumne i strzeż się tej pychy wyniosłej, przez którą przywiązywałeś się więcej do wygłoszonej raz opinii, niżeli do prawdy. Niech miłość własna nie każe ci milczeć wtedy, gdy się uczujesz przekonany i nie wahaj się postępować według tego przekonania.“

„Naucz się z kolei opierać zewnętrznym i wewnętrznym poszeptom namiętności i ambicyi, abyś nigdy nie zerwał związków braterstwa, w szlachetnym celu ze szlachetnymi ludźmi związanymi. Usiłuj być zawsze sobą samym, majątek i opinią pozyskaną; uważaj jako pole powiększonej działalności w kierunku obowiązków twoich, ale nigdy i dla żadnego celu nie szukaj wyniesienia na drogach innych, niż praca i gorliwość w spełnianiu powinności przyjętych.“

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dokończenie).

„Umiej zużytkowywać zdolności twoje i nie marnuj ich lekkomyślnie. Świat, towarzystwo jest nam potrzebą i przyjemnością, ale trzymaj się tu ostrożnie, abyś nie roztrwonil majątku twego ducha, nie rozrzuć pomiędzy ludzi jego skarbów. Jest to bankructwo. Powołanie, jakie sobie wybierzesz, uważaj za urząd społeczny, za sposób złączenia twego życia z życiem twego kraju, za czynne z nim współpracownictwo dla zwiększenia dóbr ogółu.“

„Gdy będziesz umiał dobrze czuć i dobrze myśleć, gdy będziesz wiedział jak działać, gdy posiedziesz straż, strzegącą istoty twojej wewnątrz i zewnątrz, gdy inteligencja twoja pracować będzie pożytecznie,—sprawiedliwość przyjdzie ci drogą naturalną i wszędzie ci będzie dobrze, po nieważ będziesz na wszystko przygotowanym. Nic nie zachwieje równowagi twego ducha, zadowolisz się małą rzeczą, bo posiadać będziesz zadowolenie ludzi uczciwych.“

„W złej wierze, w podstępnie, w zdradzie i oszukaństwie, w przeniewierzaniu się ideom szlachetnym, ujrzyś wtedy cierpkie owoce niewiedomości, nizkości duchowej, i użalisz się nad niemi, zachowując przeciw siebie od zetknięcia z nędzą poniżającą. I nie będziesz próżnym, nie będziesz małoduszny i powierzchowny, bo będziesz umiał cenić rzeczy według ich wartości prawdziwej. Uczucie samolubne nie wpłynie na postępowanie twoje, bo miłość ludzi będzie uczucie w piersi twojej ugruntowaną i oddasz każdemu, co mu się należy — cześć zasłudze, hołd i uszanowanie cnocie. Nie będziesz surowym i tylko nie staniessz się miękko pobłażliwym dla tego, co podle, co skalane, nędznie upadłe, lub nikczemnie drapieżne, pyszne z rzeczy lichych i wynoszące się przez nie ponad zasługi i cnotliwą dostojność czystego serca.“

„Ale jakimkolwiek byłby błąd, dobroć twoja nie da ci zapomnieć, że jest podnoszenie się z upadku, że ten winny jest jednak bratem twoim. I przypominasz wtedy sobie słabości własne, będziesz żył w pośród ludzi łagodny, skromny, li tościwie dla jednych tklivy — dla drugich, życzliwy, dla wszystkich — prawy wspaniałomyślny, silny w zasadach, poważny jako człowiek, który zna wagę życia, lecz wesołego serca, bo to raduje go właśnie, że jego życie, istnienie jego na świecie może być dobroczynnym i pięknym w pracy swojej. Przyuczony do patrzenia na ludzi jak na braci, przyuczony do ofiar, jakich braterstwo wymaga, potrafiś bez wysiłku poświęcić się dla ojczyzny, a poświęcenie to słodkiem ci będzie, jak poświęcenie się syna dla drogiej mu matki i zarazem uczujesz dotykalnie ów węzeł solidarności, która sprawia, żeś nie jest na świecie istotą samotną i odosobnioną, bez wsparcia i pomocy.“

„Żyj tak, a jeżeli dożyjesz starości, to, jak robotnik po dniu pracowitym obróć się z zadowoleniem wzrok poza siebie i czuć się będziesz szczęśliwym myślą, żeś tam nie zostawił żadnego przymiotu nierozwiniętych, żadnej siły bezczynną, żadnej zdolności bezpłodną, żadnego prawa niezuzyczkowaniem, żadnego obowiązku niespełnionym. Jeżeli mieć będziesz dzieci, w których odżyjesz, dobrze je przygotujesz do życia i zostawisz im w spuściznie swój przykład, a gdy śmierć przyjdzie na koniec, gotowym będziesz do odejścia w zaświaty tajemniczy, nie żałując przeszłości i nie lękając się przyszłości.“

Szlachetnie piękny całokształt uczciwego istnienia, w którym wszystkie wyższe przymioty ducha łączą się i wspomagają wzajemnie na wytworzenie najwyższego. Tylko uczciwy człowiek może być dobrym obywatelem, bo nie jest to, ani samo uczucie, w piersi noszone, ani pojedyncza chwila uniesienia, czyn pojedynczej ofiary nawet, ale całość dążeń i postępów człowieka, tak jak całość dążeń, postępów syna wyrokuje o jego miłości dla matki.

M. Ilnicka.

Stanisław tylko przenocował w Warszawie, której ruch zrazu go odurzył, a potem zmęczył. Ci ludzie, z których każdy śpieszył za swoim interesem, sprawiali mu wrażenie chaosu i sposzregł, że się stał wieśniakiem, ale nie gniewał się o to — uczuł, że tracił na swoje powołanie. Wyjeżdżając ztąd, był rozdrażniony i zbolaty, miał serce rozdarte, a duma, która cierpiała w nim silnie, nie dała mu przyznać się do tego nawet przed sobą samym. Ona to buntowała go, nie pozwalając, aby schylił się do kolan ojca, wyśpowiadał z grzechów przeszłości i przyznał do żalu, jaki uczuwał. Stoicka taktyka, jakiej drugostronnie trzymał się ojciec, z obawy właśnie, aby nie być za słabym dla jednaka — aby nie odstąpić od zasad, które zawsze głosił, których usiłował trzymać się całe życie, dokonała reszty, bo, na nieszczęście, syn tak nie umiał czytać w sercu ojca, jak t.n. ojciec w sercu syna.

Francuzkie: „Cherchez la femme...“ przyłączyło tu jeszcze. Jadwiga wywarła na Stanisława wrażenie, jakiego nie doznał dotąd nigdy wobec kobiety. Szalał nieraz, ale nie kochał nigdy, teraz przeciw uczuł nieznane mu dotąd wzruszenie serca. Jej piękność, jej wdzięk niewieści, i jakiś szys szlachetny, podniosłość i razem prostota doskonała, łagodna i spokojna — działały na niego czarem potężnym; jednakże on, taki, jakim był wówczas, a raczej taki, jakim przedstawiał się ludziom, mogącym go sądzić tylko z widocznych rysów jego przeszłości, mógł wątpić, aby ta szlachetna była skłonna do przychylnego dlań sądu.

Była to zasłużona kara za skrzywiony kierunek jego młodości. Ktoś gorszy od niego, nie byłby doznał tego uczucia, które podniosło mu się w sercu cierpkie i gorczy pełne, stając się jednym bodźcem więcej, aby rzucił się na szalone przedsięwzięcie usunięcia osoby swojej z drogi życia tego ojca, któremu nie dawał z siebie pociechy, jakiej mógł się on spodziewać po rozumem, tklivem, pełnem poświęcenia i miłości wychowaniu jednaka. Żal, że tak jest — uczucie winy do której nie przynajmniej się nigdy samolub, a którą czuje w spotęgowaniu serce z zarodem szlachetności w głębi swojej, zlały się razem w piersi Stanisława i, na nieszczęście, zmieszały się tam z atomem zazdrości, która przeciw wydała mu się potworną, bo wychodząc z piersi synowskiej, dotykała ojca!..

Zapagnął też tak mu zejść z drogi, jakgdyby nie istniał już na świecie!..

Zapagnął zarazem rozpocząć sam istnienie nowe: rozstać się ze wszystkim dawnym, porzucić to jak suknię niewygodną i zbrukaną, oblec się w szatę nowego człowieka i z zapasem młodej jeszcze siły, z małą fortuną, która mu pozostała z rozbicia, zapracować sobie na trochę szczęścia i szacunku u ludzi. Ze poetą był, że przeszłość zostawiła mu jednak na dnie serca uczucie jeszcze niestaranie — że go podniecał żal do ojca: rzucił się więc trochę fantastycznie w życie nowe pracy i obowiązku, bo tego tylko już chciał od świata. Zdawało się, że ze wszystkim innem już skończył nazawsze — że przeżył wszystko i zostawił za sobą.

Los mu posłużył szczęśliwie, a może on sam umiał z przypadkowego zbiegu okoliczności szczęśliwie skorzystać, ale nowe osiedliny nigdy łatwo nikomu nie przychodzą. W stronach świata dziewiętych osadnik walczyć musi z naturą, na ziemiach starych z ludźmi, którzy tu z dziada pradziada istnieją. Niedowierzają przybyszowi, i badają go, co za jeden jest, po co tu przyszedł i

jaki interes skłania go, aby tu został? Stanisław doświadczył tego na sobie, a że w grę wchodziło dobre imię kobiety, nie zawahał się nad ofiarą cichego usunięcia się na stronę. Poraz drugi ujrzał się wypchniętym w świat szeroki.

Wśród wzruszeń tej chwili wzburzona wyobraźnia przedstawiła mu w obrazie sennym skrytą na dnie serca tęsknotę i wyrzut uczucia synowskiego. Uczucie to podniosło mu się silnie w piersi pod wrażeniem pierwszym, ale nie zamilkło już i potem. Czas przeżyty w Rudawicy nie tylko uspokoił w nim drażliwość, z żalu do ojca powstała: uspokoił całą jego wewnętrzną istotę i nie mylił się też, gdy wróciwszy na bruk warszawski powiedział sobie, że jego powołanie było tam, poza nim — na wsi.

Tak, rola to był jego stary grunt rodzinny i czuł to teraz wyraźnie. Pojedzie do ojca i choćby znalazł już tam, na miejscu matki swojej gospodynią nową, już się nie będzie przeciw temu cierpkim żalem podnosił. Spokojnie, poważnie, jak syn dorosły, jak mężczyzna z mężczyzną z ojcem się rozmówi — odkryje mu swoje plany powrotu na wieś. Zaraz na wstępie uprzedzi go przeciw, że nie tylko nie od niego nie chce, ale nie przyjąłby nic — nic... Chce tylko ojcowskiego serca i ojcowskiego błogosławieństwa, bo inaczej czuje się sierotą. Tego mu potrzeba i po to jedynie przybywa. W okolicy znajdzie się jakiś mały folwarczek, jaki przysiołek i tam osiedzie, będzie pracował — na słońcu, czy wietrze, na słocie, ale od czegoż jest młodym?... Wstydić się też nie będzie... Kto straci — płaci... Ludzie uczciwi, ludzie rozumni, nie rzucą ztąd na niego wzrokiem pogardliwym, a o innych nie dba.

Koło godziny dziesiątej ra no siadł do karetki pocztowej i dojechał nią do miasteczka graniczącego ze Starą Wsią. Tu go teraz nikt nie poznał, bo wmieszany między podróżnych nie zwracał na siebie szczególnej uwagi. Nie było już wytwornej karetki, nie było już przy nim starego sługi!..

Gdy na bryczkę pocztową wsiał i pocztylionowi cel drogi wskazał, ten mu raz drugi w oczy spojrzął. — Czy nie panicz tamtejszy? — pomyślał, ale Stanisław nie ośmielił go niczem do rozmowy i nawet zaczął jej się nerwowo lękać. Niespokojność nagle uderzyła mu na serce. Zdawało mu się, że słyszy znowu wołanie: — Mój synu! mój synu!..

Nie kazał pocztylionowi trąbić. Jechano cicho lasem i polem, na którym teraz były tu już zaczęte żniwa. Kopy stały gęsto, bo urodzaj był dobry.

Słońce już się zniżało ku zachodowi i ptaszęta drobne rozpoczęły swój śpiew przedwieczorny. Wśród przyszyżonych koron starych wierzb, które wysadzona była droga, wróble swiergotały na wyścigi; na gruszech wśród pola odzywały się inne głosy szarej rzeszy: pliszek, makolągów; jaskółki bujały nisko ponad zżętą niwę, pływając niby w błękitnym eterze. Powietrze było bardzo ciche, już nie upalne, ale jeszcze rozgrzane od słońca, którego złotą luną zdawało się przesiąknąć. Tak zawsze bywa, gdy słońce jest nisko, a te efekta światła dają zwykle krajobrazowi jakiś charakter łagodnego spokoju. Przyroda żegna się ze słońcem spokojnie, bo wie, że jutro rano wstanie ono znowu, wyłoni się z jakiegoś tajemniczego zaświecia — powoli, majestatycznie wzbije się ponad lasy, pola, ogrody, a wtedy ptaszęta ockną się znowu wśród zieleni i ozwą się chórem radosnym. Skowronek wzleci wysoko, dzwoniąc hejnał wesoły.

A z chat wiejskich po dnoszą się ku górze siwo błękitne kolumny dymów, pracowita gromadka ludzi wyjdzie z sierpami na rolę, śpiewając naboźnie, uroczyste starą pieśń poety: „Kiedy ranne wstają zorze.“

Spokój otaczającej go natury wstępował łagodnie w pierś Stanisława. Dojeżdżając do rodzinnego domu, doznawał uczuć żeglarza, przybijającego do portu. Wszystko, co w nim mogło być jeszcze drażliwością, zniknęło; pragnął z utęsknieniem ręki ojco wskiej, któraby położyła mu się na głowie.

Rozkaz niestrąbienia jeszcze raz pocztylionowi powtórzył. Tak zajeżdżał tu niegdyś śmiały i szczęśliwy chłopak, teraz przecież przybywał tu inaczej. Zesiadł przed wrotami z bryczki, której się tam zatrzymać kazał, i wszedł cicho w podwórze, a pies żaden nie zaszczekał na niego. Patrzyły, jak zadziwione, lecz jeden, stary Rozbój, przyszedł i łasić mu się zaczął, a on poglaskał go wzruszony i musiał przystanąć, aby tchu w pierś zachwycić. Nie było nikogo, ani na podwórzu, ani w ganuku, i z bijącym sercem wszedł do sieni, potem nalewo do jadalnego pokoju, w którym okna wychodzące na ogród, na klomb akacyowy, stały otwarte. Wszystko było taksamo — zupełnie taksamo, jak niegdyś; stary zegar cykał powoli w swojej kunsztownej szafce, a Stanisława zaczęło ogarniać coś jak trwoga: czy cały ten dom nie stoi pustką?

Postępował mimowoli tak cicho, jakgdyby obawiał się sprawić łoskot najmniejszy, drzwi do bawialnego pokoju znalazł uchylone i tu narreszcie zobaczył kogoś...

Przy drzwiach szklanych, obiema połowami otwartych na ogród, siedział w fotelu jego ojciec w białym pikowym szlafroku. Drzemał, gazeta, którą zapewne czytał przed chwilą, leżała mu na kolanach. Był blady i bardzo zmieniony — ze starzały. — Wyłusiał, czoło się odkryło, przerzedzone po bokach włosy posiwiały owiele więcej. Serce synowskie ścisnęło się niewypowiedzianą boleścią — żalem, zgryzotą. Stał, jak skamieniały na progu; przecież coś musiało zdradzić jego obecność, bo na ganku mignął cień, i we drzwiach stanęła postać kobieca — Jadwiga.

Ubrana w granatową suknię płócienną, z gołą głową i bez rękawiczek, jak ktoś będący u siebie w domu, stanęła i spostrzegła przybyłego: położyła palec na ustach. I ona była zmieniona, blada i wyraz twarzy miała bardzo poważny.

W tej chwili p. Andrzej ocknął się i drgnął — zobaczył syna...

Może sądził, że jeszcze śpi, że to jest sen tylko, boniespokojnie przesunął rękę po czole, lecz w tej samej chwili Stanisław znalazł się u kolan ojcowskich. A działo się to wszystko tak cicho, jakgdyby rzeczywiście w widzeniu sennem. Nikt nie wykrzyknął z podziwienia, nikt nie wydał głosu. Stanisław, niezdolny do żadnego słowa, klęknął i objął kolana ojca, szukając oczyma jego wzroku. Tak, jak w pragnieniach jego marzenia, p. Andrzej położył mu rękę na jasnej głowie. — Dobrze, żeś przybył — rzekł — byłem chory...

— Wzywałeś mnie, i usłyszałem! — zawołał Stanisław. Gorąca jego natura owładnęła nim. Położył głowę na kolanach ojca — bo zapłakał...

Jadwiga cofnęła się cicho na ganek. Może i fijołkowe oczy zasłoniły się łzami.

— Mój synu... mój synu... — szeptał p. Andrzej. Ogarnął obydwoma rękami głowę Stanisława, jakgdyby pragnąc ją sobie przytulić do łona, ale zaraz potem, jakgdyby obawiając się wzruszyć zanadto, rzekł łagodnie: — Wstań, Stanisiu... wstań... Chorowałem, ale to już minęło... Podaj mi rękę.

— Opaliłeś się, aleś zmęźniał — dodał powstawszy i obejmując syna spojrzeniem — dobrze wyglądasz...

— I dobrze, żeś wrócił... dobrze...

Obaj walczyli ze wzruszeniem. — Panno Jadwigo... — zawołał p. Andrzej, chcąc może skrócić scenę, która targala nim za silnie, a Stanisław drgnął. To nie była jego macocha, ta piękna, która spojrzała na niego tak poważnie, surowo... Zdawało mu się w tej chwili, że poraz drugi i zupełnie, doskonale odzyskał ojca na własność niepodzielną. Wrażenie to było bardzo silne i żywe. — Mój ojciec... — zawołał z radością, z tklivością niewysłowioną.

Był przecież winien Jadwidze wdzięczność wielką bardzo, bo mógł nie zastać ojca — mógł być znaleźć się teraz wobec zamkniętego, milczącego grobu, do którego już daremno jest pukać i wołać, lać na głaz zimny łyż najgorętsze. Pan Andrzej chorował ciężko, niebezpiecznie. Od rozstania z synem, od jego zaginięcia, truła go żółć — żal, tęsknota... Zbierało się to w piersi, aż przyszła наконец zła gorączka. Sprowadzo-

no mu najlepszych lekarzy, ale Jadwiga to, która czuwała przy jego łóżku dnie i noce — która później stanęła wśród smutnych, powolnie się wlokących dni rekawalecencji, między nim a samotnością bolesną — Jadwiga uratowała mu życie. Wracający tu syn marnotrawny był też jej to winien, że nie tłuł teraz z rozpacz głową o mur.

Co-by to było wejść do pustego domu i wołać bez odpowiedzi: — Ojciec... ojciec... O! ci co kochają, niech nie zapominają nigdy, że jest śmierć, która rozdziela taką ścianą nieprzebitą, jak tajemnica wieczności... Trumna już nas nie odda jak kolebka...

Tego jeszcze dnia wieczorem Stanisław chciał całować — nie ręce, nie nogi, ale kraj szaty Jadwigi.

O planach, jakie tworzył, jadąc tu, nie było już mowy. Zaraz nazajutrz ojciec rzekł mu, że musi go wyręczyć w gospodarstwie. — Młodszemu panu odnosić klucze, do młodszego pana zwracać się po dyspozycję wszelkie — zapowiedział karbowym, a do syna uśmiechnął się wesoło:

— No, doczekałem nakoniec zastępcy i ja... Odpoczywać będę teraz, jak ta ziemia, której kłosa już są dojrzale...

Nie dał też Stanisławowi wynieść się na górne pięterko — mówiąc — że obecnie miejsca to mieć nie powinno, skoro osiedla się tu na stałe.

— Może się ożenisz niedługo? — dodał, patrząc mu w oczy uważnie.

Po twarzy Stanisława przeszedł płomień gorący. Wieczorem tego dnia, gdy wyszedł z cygarem na ganek ogrodowy i patrzył zadumany w ciemne głębie ogrodu, ojciec przyszedł do niego pytając: o czym rozmyśla?

— O rzeczy bardzo ważnej — odpowiedział — o sile atrakcyi, którą stary grunt posiada względem tych, którzy się na nim porodzili. Najlepiej, najbezpieczniej jest im na nim, i są też tu najużyteczniejszymi. Na świat wyrzeć trzeba, po światło, po naukę — trzeba tam pochwycić uchmem „co myśł wieku waży w głębi“, ale niech wraca kto może na skibę swoją, choćby to była w literalnem tego słowa znaczeniu — skiba tylko. Mył Anteusza jest wiecznie prawdziwym. Kto się ziemi trzyma, jest tej ziemi osadnikiem... A przytem, co on sam za to dostaje? Taka jest waga i powaga interesów, które się tu toczą, które się tu rozgrywają, że to odpędza puste, licheszały. Emanacje, wydzielające się z zaornego przez nas gruntu, mają w sobie czar, który przywiązują doń. *Glebae adscriptus*... Jam tego doświadczył, ojciec... stracona równowaga wróciła mi, jak owemu Grekowi, o którym wspominałem, gdy uczuł pod nogami, nie kamień — nie bruk, ale ziemię.

— Ojciec... jechałem tu do ciebie nie wiedząc, czy mi przebacysz przeszłość, czy mi otworzysz tak ramiona, jak to uczyniłeś. Ach! człowiek nie jest z jednej sztuki i przebywa fazy różne. Ja też pragnąłem od ciebie najpierw przebaczenia tylko i błogosławieństwa twego, a potem za tę trochę grosza, który mi się uchwalał, chciałem kupić w swoich, zawsze najmiłszych nam stronach, jaki kawałek ziemi. Myślałem o Przylaskach. Na ten folwarczek stać-by mnie było może... Pracowałbym był, orał, siał, choćby w siermiędze i byłoby mi jeszcze dobrze...

Ręka ojca spoczęła na ramieniu syna. — Dobrześ myślał — rzekł poważnie. — Praca na roli jak na dobrym warsztacie zawsze wdzięczna. a prócz tego ten panuje — kto ma ziemię.

— Przecież gospodarzowi potrzeba gospodyni... a młodemu sercu miłości? — Jam już naprzód trochę o tem myślał za ciebie... układał plany...

— Cicho, ojciec — rzekł Stanisław, ścisnąc rękę p. Andrzeja. — Niech się pierwszej trochę zasłuży... trochę zarobię — na ten skarb...

— Podniósł oczy ku górze na błękit usiany gwiazdami i marzył cicho do północy.

Tego wieczora Żegota patrzył też w gwiazdy. Jechał powoli miedzą wzdłuż niwy rudawickiej, gdzie kopy zżętego żyta obliczył i patrzył ku tem migającym w górze światłom. Teraz zaprzestał bukoliki sobie deklamować i zaczął patrzeć w oddal gwiazdzistą, bo służył, nie myśląc, aby sobie coś zasłużył. Na drugi dzień po odjeździe

Stanisława, w Rudawicy się stawiał — odważnie. Czuł, że oparzyć się może; pamiętał, że od dziecka go uczono: — ostrożnie z ogniem! — przecież stanął się tu, jak dał słowo, i obowiązkiem nakazany mu przyjął. Ludzie uważali, że nowy ekonom rudawicki wart dawnego a że lepiej, naturalniej pasował do roli swojej, więc się nikt osobą jego nie zajmował i cicho, spokojnie mógł tu swoje robić. To zaś, co gwiazdom mógł mówić, nie wchodziło w rachunek.

Oddawna przywykł mieć w życiu takie istnienia drugie, o które go nikt nie posądzał. Że zaś znał się mocnym i zdradzić się nie bał, więc mógł sobie śmiało mówić: że *a parte* z gwiazdami w rachunek nie wchodzi. To była jego własna sprawa i z nim samym. Jeżeli sądził, że słodko jest pić w ten sposób nektar, choć pałacy — to już nikt i nie — moral żaden, nie miał prawa się odzywać.

A urodzaj był w roku tym rzadki i pogoda posłużyła: zebrano, zwieziono wszystko szczęśliwie, jesienią grzmiały w stodolach cepy, przy których się nieraz i Żegota sam gymnastykował, pokazując leniwym, jak się to brać do tego należy, a p. Michałowi, za młockarnią cicho wzdychającemu, tłómaczył, że się bez tego wybornie obejść może, skoro się ludzie przez tyle czasów i lepszych niż dzisiejsze, obchodzili. Zdawało się, że życie, któremu Stanisław pierwsze szczęśliwe popchnięcie dał, będzie tu w oczekiwaniu za szczęściem przynajmniej spokojnie, bez żadnej ciężkiej troski płynąć, gdy naraz w połowie Października, gdy natura jeszcze się uśmiechała do człowieka słońcem, może tem miłszem, że co dzień to krócej przyswiewało — padł tu straszny grom. Wezwano naraz p. Michała do miasta i wrócił ztamtąd blady jak ściana, tak zesłabły że musiano go z bryczki wysadzić, bo sam nie miał siły wysiąść.

Jedynak jego zginął od kuli Czezeńca...

Właśnie miał jakiś awans otrzymać, miał o tem do domu pisać i... już nie napisał... W wozie zpoza załamu skały padł strzał, i ułan, który tamtędy z jakimś raportem jechał, z konia spadł, a dopiero na drugi dzień znaleźli go tam odartego do naga.

W miesiąc czasu potem, gdy w domu matka zaczęła się właśnie bardzo niepokoić, że listu niema, wiadomość przyszła... Odsyłano z pułku pozostałości: trochę książek i kosztowności, zegarek, pierścioneczek z dwoma granatkami i perelką.

Wanda tak mdlała raz po raz, że myślano, iż ciosu nie przeżyje. Przeżyła przecież, bo była młoda i silna, ale matka st ara nie wytrzymała boleści. Pochowano ją w czasie adwentu. Umierając, zwracała na Wandę oczy z rozpaczą, błagała ją niemi, aby była córką i pocieszycielką ostatnią dla biednego starowiny, który zostawał już teraz sam na ziemi.

Wanda przysięgła to konającej i dotrzymała słowa. Włożyła żałobę jak wdowa, i jak synowa została w domu p. Michała, któremu powiedziała pierwszego dnia po pogrzebie, klękając u jego kolan. — Aż do śmierci mojej lub twojej, ojciec... aż do śmierci służyć ci będę...

I służyła wiernie. Żegota pozostał także na stanowisku, na którym stał się obecnie potrzebniejszym niż kiedy, bo p. Michałowi jakgdyby przybyło lat sto. Nie zdziścił, ale jakoś zlagodniał jeszcze i zo bojętniał na wszystko. Do gospodarstwa wcale nie zaglądał, tylko czasem w ogrodzie bawił się dozorowaniem niektórych drzew i klombów, które lubił nieboszczka. Mówił nieraz ogrodnikowi tak, jakgdyby żyła:

— A pamiętaj-no o balsaminach starszej pani... Pamiętaj-no o tych brat kach alpejskich...

Młodszą panią była Wanda. Jak Kordelia szekspirowska, służyła mu dnem i nocą. Ten nieborak miał oczy otwarte na światło słońca, ale patrzył niemi, jak gdyby tylko w głęb siebie i w przeszłość.

Na drugi już Nowy Rok jego boleści, gdy przyszedł rano Wandę ucałować i przyniósł jej jakiś pamiątkowy klejno cik po nieboszczce, wziął ją potem za rękę i zaczął od tego, że ma do niej prośbę wielką. — Kochanko — mówił — musisz mi przyrzec, że nie odmówisz... musisz...

Naturalnie, że przyrzekła, a on wtedy prosić, nalegać nawet na nią zaczął, aby zdjęła żałobę.

— Ach! kochanko — mówił — oblubienicą nigdy nie będąc, wdową się uczyniłaś... Jeżeli chcesz mnie ucieszyć i przyjemność wielką mi sprawić, to włóż dziś suknię inną, albo choć przypnij sobie coś barwnego, coś z weselszym kolorem jakimś... zawiąż wstążeczkę...

Musiała to dla niego zrobić. Błękitna zawiązka na szyi rozświeciła szaty jej ciemne, a on za to w rękę ją pocałował, gdy ją przy stole tak zobaczył. — Dziękuję ci kochanko — mówił — dziękuję.

— Nie powinna się przy mnie marnie zesterzeć — rzekł potem Żegocie. — Prawda?... niepowinna...

Temu zaćmiło się w oczach, ale milczał. Wieczorami w gwiazdy patrzył.

Wkrótce potem, w wigilię Trzech Króli, poprosił Żegotę, aby mu kazał konie do powozu założyć. — Dzień jest piękny: mrozu prawie wcale nie ma, i radbym się, kochanku, przejechać. Do pp. Borysowiczów pojedę... Szopy włożę, niedźwiedzie mi, kochanku, w nogi dać każesz i pojedę. Jasia szczególnie lubię, chłopak piękny i rozumny, a dobry bardzo. Wymówię mu to, że rzadko u nas bywa....

Wymówił skutecznie, bo p. Jan Borysowicz zaczął się stawać coraz-to częstszym gościem w Rudawicy. Wanda była zawsze bardzo grzeczna, ale bardzo chłodną — chłodniejszą niż dla innych, a Żegota bladł, gdy przyjeżdżającego siwe konie zdaleka zobaczył. Zwykle wtedy tak do gospodarstwa uciekał, że się nikomu tego dnia na oczy nie pokazał, a Wanda zauważyła, że i nazajutrz jeszcze coś posępnego w oczach miał.

— Czy pan nie słaby? — zapytała raz, po dniu takim, patrząc mu w oczy uważnie.

— Nie... odparł. — Nie choruję nigdy.

— Tylko jestem zmęczony... dodał — bardzo zmęczony dziś jestem...

Powiedział to mimowoli; słowa wyszły z ust nieopatrnie, ale zdarza się to nawet olbrzymom, z takimi jak on barkami...

Wanda spojrzała mu głęboko w oczy... Chciała mu powiedzieć, że widziała na drzewach ogrodu światło, z jego okna do bardzo późnej godziny bijące, ale się zatrzymała i zamyśliła.

Zamyśliła się i wśród tych dumań przeszedł jej raz i drugi płomień rumieca po twarzy.

Przed Wielką Nocą samą, bo w Sobotę przed Kwietnią Niedzielą, p. Jan Borysowicz oświadczył się Wandzie. Powiedział jej, że ją kocha od dawna — od pierwszej chwili ujrzenia jej, ale zatłumiał te w sobie i milczał, bo wtedy nie była wolną i on to uszanował, nie śmiał się do niej słowem miłości odezwać. Teraz przecież okoliczności były już inne — wdowa każda jużby się wolną czuła, więc on się odważył. Gorące słowa gorącego, namiętnego uczucia lały mu się z ust, a ona bladła, słuchając.

Lecz potem wzruszona, smętna, odpowiedziała: Nie! Dlatego właśnie, że on kochał tak żywo, tak silnie, ona tak postąpić mnsiała. Nie mogłaby mu się takiemśamem uczuciem odpłacić — nie mogłaby mu dać szczęścia.

Odjechał, biedak, blady, a ona na drugi dzień pytała Żegotę: dlaczego tak długo nie spał w nocy?

We dwa tygodnie potem, w Przewody, znaleźli się po obiedzie razem w pokoju. Znaleźli się, bo Wanda tego chciała i ułożyła tak rzeczy, aby chwilę rozmowy swobodnej z nim mieć. Już była wiosna zupełna i bardzo ciepło, świat cały piękniał, stroił się zielenią i kwiatami; Wanda przecież wesoła nie była, bo nikt wkoło niej wesela nie okazywał. Borysowicz w kościele się z nią spotkał i prosił, aby mu choć czasem bywać w Rudawicy pozwoliła. i ona siedziała długą chwilę w ogrodzie samotna i zadumana, a potem poszukała towarzystwa Żegoty. Przeglądali świeżo nadeszłe gazety, aż ona zapytała go nagle, czy przyjaźń może człowiekowi zastąpić miłość? On zmieszany, wzruszony podniósł na

nią oczy, a ona wyciągnęła rękę przez stół, który ich dzielił.

— Czy przyjaźń prawdziwa, głęboka, na rzetelnym szacunku, na sympatyj dusz oparta przyjaźń, może to dać, coby miłość zastąpiło? — zapytała.

On chwilę jakąś zdawał się jak oniemiały. Ręki wyciągniętej ku sobie nie brał i podniósł się z miejsca, stał, patrząc na nią, aż naraz do nóg jej runął. — Nawet litość twoja, to już szczęście, to już skarb!... — zawołał i stało się tak, że w godzinę potem Wanda poszła szukać p. Michała w ogrodzie. — Ojciec... — rzekła — czuję, jak dręczysz się tem, abym nie szła przez życie samotna, więc też obrałam sobie towarzysza. Jan Borysowicz nie był dla mnie, bo żądał uczucia, jakiego już dać nie mogłam, ale jest szlachetny, uczciwy człowiek, który się chce zadowolnić tem, na co już stać mnie jedynie. Jeżeli pobłogosławisz mi ojciec, pójdę za Żegotę...

P. Michał nie zaraz przystać chciał. — A kochanko, kochanko... — wołał — czyż on dla ciebie, tak pięknej, tak powabnej...

— Ojciec... to może moje przeznaczenie. Kiedyś padała po skoku szalonym, objęcie tego człowieka dało mi oparcie dobre i niech tak będzie teraz. Pragniesz tego, żadasz ode mnie, abym nie została samotną i to jest przyjaciel dobry, którego wybrałam... Jeżeli mi pobłogosławisz i przyjmiesz go za syna, pójdę za niego...

Poszła, i nie żałowała nigdy tego kroku. Takliwie, głębokie przywiązanie złączyło ze sobą dwoje ludzi zarówno szlachetnych, których serca i dusze rozumiały się zawsze. P. Michał umarł w objęciu Wandy lekką, cichą śmiercią, ludzi sądzących, zamknął oczy, jak do snu, aby się przebudzić tam, gdzie już niema rozłączeń i tęsknot — boleści serc rozdartych.

Wandzie zapisał Rudawicę. Testament, którym czynił ją spadkobierczynią swą ogólną, nosił datę o kilka lat wcześniejszą. Spisał go na drugi dzień po śmierci żony, kiedy już sam zaczął się czuć jak na odlocie — podobnie, jak te ptaki wędrowne, które szukając światła i ciepła, lecą gdzieś w dal tajemniczą.

W Rudawicy wszystko zostało podawanemu. Stary dwór, podpierany, ratowany troskliwie, stoi dotąd; stare ogrody cienistsze są jeszcze i pełniejsze szumów, szmerów, świergotów różnych, a latem, gdy tu wybiegnie chłopię jasnowłose, odzywając się nieraz głosem wołającym: — Stasiu! Stasiu! a stare echa budzą się zadziwione wśród zarośli i pytają: — Zaliż on powrócił?...

Duch wrócił może, ale noce są tu spokojne i ciche, bo nie przeszkadza tam nic, gdzie wszystko zostało spełnione na gruncie starym — uczciwie i pobożemu.

K O N I E C.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż d. 28 Czerwca 1888 r.

Czas i skargi na niego. — Wpływy atmosferyczne. — Projekt zniesienia banicy księcia d'Aumale. — Zabawy paryżkie. — Co one kosztują?... — Widowiska publiczne letnie. — Ogródki. — Skobelew w hipodromie. — „Montagues Russes.” — Konne wyścigi. — Wielka nagroda. — Przygotowania do wystawy powszechnej w 1889 r. — Wieża Eifela i odbudowanie dawniejszej Bastylii. — Śmierć francuskiego marszałka Lebouffa. — Komitet do przygotowania kongresu „wolnych kołbi” w 1889 r. — Okólnik komitetu. — Nowa powieść *Jaga* i autorka jej pani Paradowska.

Nakoniec mamy trochę słońca i ciepła. Mówię „trochę”, bo dotąd jeszcze, pomimo, że to koniec Czerwca, niebo zasłane chmurami, a słońce ukazuje się zrzadka w całym swym blasku. Czas jest niezmiernie burzliwy, a elektryczność wyprawia nam taką biesadę galwaniczną, że wszelkie nerwy, choćby były tak twarde, jak okrętowe

liny, idą w płasy i taką zawodzą sarabandę, że człowiek biedny miejsca sobie znaleźć nie może.

Pisać miłą i zabawną korespondencją w takich warunkach fizycznych, i kiedy się jest w podobnej łaźni, jest to chcieć zbierać gwiazdy z nieba. Wytrzymaliśmy długą zimę i jej cierpkie resztki. Maj tegoroczny chodził w kożuchu do końca, bez żadnego wstydu, a o słowikach słyszeliśmy tylko z podania poetów...

Nie przeszkodziło to wszakże Paryżanom i całej jego kosmopolitycznej rzeczy, która tu znosi skwapliwie pełne swe sakwy, kupując za nie to, co się nazywa życiem paryżkiem — nie przeszkodziło hulać i szaleć na zabój... Rzecz nawet godna uwagi, że dziś kiedy tak zwany horyzont polityczny, wygląda groźniej, niż kiedy, wypadki takiej doniosłości, jak śmierć Cesarza Niemieckiego Fryderyka, stawiają Francją w trudnym i niepewnym położeniu, ludzie tutejsi bawią się, bankietują i hulają, jak się to już nie praktykowało od czasów ostatniego cesarstwa...

Oprócz tych niepewności ościennych, nie brakuje tu przecież i własnych dolegliwości wewnętrznych. Każdy, co tu stoi na tej ziemi, czuje, że mu się ona rusza pod nogami. Tu prawdziwie z Galileuszem można powiedzieć „Gadajcie sobie co chcecie, a ja powiadam: *eppur si muove.*”

Bulanżerówka, chociaż niby spuściła z tonu, po chybionym w Charente wyborze Déroulédę'a i po zbyt płochym oratorskim wystąpieniu, samego „Ernesta I”, przecież nie zniknęła wcale z posady ziemskiej i jak kret toczy gdzieś głuche, misterne swe przejścia.

Są jeszcze i inne delikatne kwestye. Jest ministerium, niby to radykalne, a w gruncie oportunistowskie i usiłujące się utrzymać na dwóch stołkach: pozycja niewygodna dla ministrów, a jeszcze niewygodniejsza dla tej biednej Francji, pragnącej pokoju...

Oto w ostatnich dniach, podniesiono tu sprawę odwołania dekretu banicy księcia d'Aumale. I jak gdyby chodziło tu więcej, o sprawienie nieprzyjemnego przejścia rządowi, niż o otrzymanie tego odwołania dekretu, delegacja pięciu akademii Instytutu złożyła na ręce prezydenta gabinetu prośbę o zdjęcie banicy. W tego rodzaju sprawach droga właściwa wskazana jest naprzód. Kiedy ciału tak poważne, jak Instytut Francuzki, bierze na siebie uciążliwy krok stanowczy, znosi się zwykle uprzednio, prywatnie z rządem, badając, czy taki krok z jej strony, może się spodziewać dobrego przyjęcia i powodzenia? Tym bowiem tylko sposobem uniknąć można nieprzyjemnych skutków wątpliwości, i dla siebie, i dla rządu. Jeśli tego nie uczyniono dzisiaj w tej sprawie, widoczną jest rzeczą, że chciano tylko rząd przyprzeć do muru, jak to powiadają — i zostawić mu całą odpowiedzialność i ohydę wraz odmowy. I tak się też stało.

Ale, jak powiedziałem, wszystko to nie przeszkadza zabawom — i *dżoja* jest tak wielka, jak gdyby *felix Gallia* opływała w pomyślności, jak pączek w masle.

W ostatnich dniach nawet tego miesiąca, była to prawdziwa *furia francese*, kto mógł i jak mógł wysadzał się na wynalezienie najcudowniejszej zabawy. Pomyślcie jeno: wyjazd nad morze, do wód, na wieś, w góry, na koniec świata — już, już był zapasem, trzeba więc było korzystać z ostatnich chwil, nim się ta szalona banda rozleci na cztery wiatry. *Carpe diem!* wołał każdy Paryżanin, a szczególnie każda Paryżanka. To też wieczory, wieczorynki, z kotylionem i bez kotyliona, „Garden-party”, zapożyczone od sąsiednich wyspiarzy... Słowem, niesłychane i niewidziane pomysły i wymysły puszczano w obieg, z bębniem i reklamą.

A kiedy człowiek pomyśli: ile-to kosztuje każda z takich zachcianek! bo to niedość otworzyć drzwi i wpuścić do domu, we dnie, czy w nocy, cały ten zastęp hulaszczego bractwa. Nie dosyć napoić go podejrzaną wartością herbata, lub problematyczną orszadką, albo limonadą, to się już tu nazywa: *starą grą* (*vieux jeu*). Tu, aby teraz być, jak powiadają w *pocią-*

gu (dans le train), potrzeba coś więcej zafundować, niż kilka butelek syropu z melasem. Potrzeba na to—bo tego wymaga moda—mieć kilku artystów Teatru Francuzkiego, dla odegrania kilku scen, dla wypowiedzenia jakiego monologu, lub jakich okolicznościowych wierszy,—śpiewaków i śpiewaczek, do odśpiewania najnowszych muzykalnych utworów. Owóż każdemu z tych artystów za parę godzin trzeba zapłacić przynajmniej po 500 franków. A jeśli do tego jest i kotylin, to należy wystąpić z fantami, i to wysokiej wartości—„praetium affectionis!” dodajmy do tego wspaniały bufet, stojący otworem, albo siedzącą kolacją i wypadnie ztąd sumka, co najmniej, 10.000 fr.

Nie braknie tu nigdy ludzi gotowych się ruinować, z uśmiechem na ustach, nie braknie tych co hasają pod rozwiniętą chorągwią: zabawy na śmierć przesadzając się jeden nad drugiego, byle pozostać w *pociągu* mody i szaleństwa.

A owe *Garden-party*, czyli wieczerzynki w ogródkach! Na to potrzeba najpierw mieć ogródek, a więc swój pałac z ogrodem, albo najęty—i za jakie pieniądze! Boć w tym ogródku rzecz się nie kończy, jak myślicie, na samej przechadzce, po dobrze wyżyrowanych alejach. Taka partyjka kosztuje często więcej jeszcze, niż owe wieczory albo poranki w przepysznych salonach. Nie trzeba się już dziwić, że takie przelotne ptaki, jak nasze polskie bociany, wracają potem do domu oskubane i gotowe na rożen lichwiarski; że się ruinują i we łby sobie strzelają. Nie dziw, ale też co za chluba! Mogą powiedzieć z dumą, że byli w *pociągu*!

Poza tym kręgiem czarodziejskim, osypanym złotem i srebrem świata całego, jest jeszcze pole widowisk publicznych pod gołym niebem, co się u was, jeśli się nie mylę, nazywa „ogródkiem”. Ale tu baczność! Tego rodzaju ogródek, nie ma nic wspólnego z tamtym, o którym tylko była mowa. W hippodromach, cyrkach, śpiewających kawach i t. p., zakładach wesołości paryskiej, ciekawy spectator znajduje przynajmniej choć trochę świeżego powietrza i nie jest skazany, jak w teatrach, na piekielne ognie.

Są tu też tak zwane: *Montagnes-Russes*!—rodzaj szluzgawek z wózkami na żelaznych szynach. Tłoczą się tu do tej zabawy, tak przecież niewyszukanej, a w natłoku przeważają kobiety, dość miernych i niskich całkiem polotów. Jak zawsze tutaj, w zbiegowiskach tego rodzaju, płeć męska, z małą bardo, a przecież nieuniknioną przemieszką urwipolciów i szalbierzy, składa się z całej owej paryskiej falangi hulaków, a nawet z ludzi najlepszego towarzystwa, którą te wytrzeszczki bawią, a w której liczyć potrzeba 60% cudzoziemców przybyłych, aby się tu polewować i ćwiczyć w tem, co stanowi oświatę zachodu!

Dziwny ten, a płochy zakład, otwarty z początkiem letniego sezonu, wzniesiony został przy jednym z głównych bulwarów Paryża (Boulevard des Capucines). Przedsiębiorcy samo tylko nająć miejsca na kilka miesięcy, wraz z kosztem urządzenia zakładu, opłacili pokązną sumą: 150.000 fr. Po dwóch miesiącach eksploatacyi zwróciły się im wszystkie koszty i odąd cały dochód jest czystym zarobkiem... *Et nunc erudimini!*—Kiedy człowiek pomyśli, coto jest za rodzaj zabawy? z kogo się składa uczęszczająca nań publiczność?—przyznać musi, że człowiek, wzięty w swej zbiorowej massie, jest to miłe i inteligentne zwierzątko, i że niema potrzeby zbyt się troszczyć o jego przyszłość.

Nie kończyć tego przeglądu, nie zapisawszy tu chociaż słów kilku o konnych wyścigach. Jak zwykle każdego roku, odbyły się w Łasku Bułońskim wyścigi tak zwane: *Wielkiej nagrody* (Grand prix), uposażone tego roku i nadspodziewanie piękną pogodą. Deszcz dni poprzednich odwilżył był powietrze i ziemię; to też Paryż wystąpił na scenę w całym swym blasku i natłoku dni niezwykłych. Od czasu wojny 1870 r. nie podobnego nie widzieliśmy tutaj. Nie chcę was męczyć statystycznymi wyrachowaniami, powiem ogólnie, i to wystarczy zapewne, aby mieć wyobrażenie o tym ruchu pewnej części ludności

paryskiej. Dochód za wejście do tak zwanych „pavillonów” z ławek z przykryciem i do „pessage”—dochód ten przyniósł towarzystwu wyścigowemu: *trzykroć czterdzieści tysięcy franków!* Summa ta przewyższa o 10.000 fr. dochód otrzymany kiedykolwiek w dzień wielkiego premium!

Nie mówię o tem, kto wygrał, a kto przegrał? Dzienniki francuzkie dosyć się o tem nagały, powiem tylko, że widok samych wyścigów zmalał i zniknął w mych oczach, bo nie gram i nie idę w zakłady, wobec tej wspaniałości, jaką przedstawiała ta różnobarwna, a tak potężna massa publiczności. Wykwintność strojów niewiedzieli była naprawdę osłepiająca. A kiedy się pomyśli, że więcej, niż piętnaście tysięcy powozów popędziło dnia tego do Bułońskiego Łasku—piętnaście tysięcy! Jakaż musiała być liczba tych, co piechotą podążyli w tę stronę! Zaczawszy od południa, w samej tylko ogromnej alei „Avenue du Bois de Boulogne”, jakby ruchoma rzeka ludzka, płynął tłum zbity w jedną i tę samą stronę.

Powrót tej ludzkiej powodzi był może bardziej jeszcze zajmujący, niż ranna processya, bo po skończonych wyścigach, cały ten tłum konny i pieszy ruszył razem z miejsca, i w zwartych szeregach podążył ku domowi, z tym rechem zmęczenia i pośpiechu, który jest nutą charakterystyczną tego rodzaju odwrotów... Widok tych ludzi w wielkiej, czarnej, trochę posępnej massie, czyni wrażenie, jakby pewnej ukrytej obawy; ale kiedy się wpatrzysz w ich oblicza, gdzie ani śladu zabawy, zkad wszelka myśl wesoła zniknęła, gdzie nie zostało nic, oprócz jednej i głównej idei zwierzęcej: dorwać się co prędzej do jadła, do napoju, do wypocznienia po znoju, czujesz i widzisz, że nie należy mu wchodzić w drogę w tej chwili. A cóż dopiero, gdyby jakiś nagły, niespodziewany wypadek rzucił popłoch wśród tego tłumu! Boże uchowaj!...

Mówiąc o zabawach ludu, nie zapominajmy o tem, jaką-to on skrzętnością przemysłnością i pracą zdobywa sobie te wszystkie środki zabawy. Potrzeba niesłychanej zdolności do pracy, aby mogła starczyć na takie rozchody, jakich sobie tu pozwala każdy i wszyscy. Olbrzymi budżet kraju przechodzi dziś *trzy miliardy* franków. Zdałoby się, że taki ciężar wyczerpie siły i środki; przeciwnie, możnaby myśleć, że im więcej krwi upuszczą tej Francyi, tem siły jej bardziej wzrastają.

Oto patrzmy na olbrzymie przygotowania do wystawy wielkiej, powszechnej 1889 r. Roboty nie zatrzymują się ani na chwilę, całe już Pole Marsowe pokryte jest wzniesionymi budynkami, które stanowią olbrzymią całość przyszłego popisu. Pomiędzy niemi już dziś króluje sławna owa *Wieża Eifela*. Nie jest ona, ani piękną, ani potrzebną, a wręcz już jest nieużyteczną, ale *nakoniec jest!* Zbytek to, fantazya—nie przeczę, ale potrzeba być dyabło bogatym, żeby sobie bez szwanku na takie wybryki pozwalać. Będzie to wieża najwyższa na świecie. W tej chwili zaczynają budować trzecie jej piętro.

Tymczasem w głębi Pola Marsowego i poza długimi galeriami wystawy odbudowano z całą dokładnością, ścisłej reprodukcji, dawniejszą Bastylią i część przylegającej do niej ulicy Św. Antoniego. Jest to dosyć ciekawe, jako dokument z czasów przedrewolucyjnych, tembardziej, że, jak mówiłem, restauracya jest arcydokładna. Umieszczono tam sklepy i sklepiki, tak, jak były ongi przyparte do murów zamkowych, w stylu i dawnej formie, a kupujący w tych sklepikach i szynkowniach ludzie ubrani są, jak to było w modzie przed Rewolucyą 1789 r. A że każdy Francuz zawsze jest trochę podszyty aktorem, więc i ci ludzie, szczególnie ich kobiety, role swoje pojmują zupełnie poważnie. Najzabawniejsze jest to, że każdy z nich odegrywa swą rolę, jakgdyby wlażył w skórę paryżkiego mieszczucha z owej epoki. Śpiewają piosenki na nutę ówczesną, słowem: mamy obraz ludzi dawnych i dawnej Bastylii.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Deotyma: Polska w Pieśni WANDA; Warszawa 1887: nakład Maurycego Orgelbranda, druk S. Orgelbranda Synów; str. 3 — 286, 8-o. — *Felicyan: Królowa*, dramat w pięciu aktach; odbitka z *Ateneum*; Warszawa 1888, druk K. Kowalewskiego; str. 1 — 81, 8-o.

Od trzydziestu lat już umysł twórczy Deotymy przebywa w świecie pod ań, które otaczały kołębą narodu i opromieniały pierwszą jego młodość. Świat ten wytworzyła sobie poetka sama, z żywiołów, jakich dostarczyć jej zdołały opowieści kronikarskie, obyczaje i wierzenia ludu, żywe jeszcze lub zamarłe, spostrzeżenia bezpośrednie zbierane z ludzi i miejsc zwiedzanych, wreszcie ta najdzielniejsza dla każdego poety dźwignia: własna intuicja. Legendowy świat Deotymy jest wprawdzie mniej uroczym od tego, któremu „Stań się” wyrzekł geniusz Słowackiego, ale ma wiele wdzięku, wyrazistości, a nie rzadko i poetycznej prawdy, mierzącej się zawsze skalą dwoistą: szczerości natchnienia i prawdopodobieństwa wytwarzanej przez nie rzeczywistości. O! poety w historii niczego więcej wymagać nie można, prócz tego, żeby nie wykraczał poza granice możliwości przez wiedzę wskazane; ale w tych granicach już z całą swobodą poruszać mu się wolno. Oznaczenie tych granic dla okresu przedhistorycznego, jest głównie zadaniem etnografii, w jej najobszerniejszym i zarazem najgłębiej zoranym przez naukę zakresie. Wiedza etnograficzna pozwala dopiero poecie wytworzyć treść człowieczą, osobnikową i społeczną, dla wybranej epoki potrzebną; talent daje człowieka wiekuistego. Kroniki dać mu mogą tylko zewnętrzne przygody; ale pracowicie wczytać się w nie potrzeba, korzystać pilnie ze światła dziejopisarskiego, aby zpomieędzy wielu wrzeczonych faktów i rysów charakterystycznych wybrać bezwzględnie najprawdopodobniejsze, a względnie do zamiaru poetycznego najstosowniejsze. Deotyma, która czytaniem młodzieńczem jeszcze w improvizacyach sprawiła wrażenie erudytki, w późniejszej epoce swej twórczości, kiedy porzuciła już odę dla poematów, stojących samoistnie, posiadających własne widnokręgi, własną plastykę, i że tak powiem, własnego demiurga w rozumie artystycznym—złączyła badania naukowe, poznawanie przeszłości w jej najdrobniejszych, bo obyczajowych szczegółach, złączyła już nierozzerwalnie ze swoją działalnością poetycką. Wiedza była dla niej zawsze, jest i dziś, niezbędną pomocnicą, wierną przyjaciółką poetyczności. Z wytrwałością i oddaniem się rzadkiem w kobietach, nawet umysłowo żyjących, autorka *Wandy* przegląda stopy foliantów, wczytuje się w dzieła ukazujące życie przeszłości, zbiera, zestawia, porównywa i wyjaśnia, dla własnego użytku, dla własnego przekonania mającego dać pewną podstawę twórczości—najrozsądniejsze świadectwa. Widywalimy ją po bibliotekach, sprawdzającą jakiś jeden szczegół, sięgającą do wiedzy jakiegoś jednego faktu—którego nieznajomość wprawiała ją w istny niepokój. Powieść *Branki w jassyrze* stanęła na całej górze studyów umyślnie podjętych. Taką tu mamy żywą siłę, taką osobistość literacką.

Polska w Pieśni jest to cały szereg poematów poświęconych przeszłości. Dawniej już, bo prawie przed trzydziestu laty, wyśpiewała i wydała poetka *Lecha, Wojnę olbrzymów, Wyszomirę, Dwunastu wojewodów*. Do tego szeregu należy i niewydany jeszcze *Błesław Chrobry*, współzawodniczący z odpowiednią częścią *Króla Ducha* Słowackiego. *Wanda* powstała podczas pobytu poetki wraz z ojcem, Wacławem Łuszczewskim, na dalekim wschodzie. Długo czekała na druk, bo pióro nie mogło się z rękopismem rozstać, a przy ogromnych rozmiarach poematu i wielkiej okwistości wprowadzonych do niego szczegółów, przy bogactwie form poetyckich i reflexyjnej istocie talentu—łatwo to opóźnienie się książki wyrozumieć. Dopiero w r.

1884 zaofiarowała Deotyma Wandę pamięci swego ojca i przeznaczyła ją do druku. Ojciec miał prawo do poematu, bo podczas pisania go był jedynym słuchaczem, a nieraz krytykiem i mentorem poetki. W wierszach zaofiarowania drży przywiązanie dziecięce:

Są tu natchnienia żywem wyszłe z duszy Twojej,
Z tej duszy, gdzie ślub wzięły Poezya i cnota.
Sypałeś mi bez liczby szczerze płatki złota,
A ja je naszywałam jak łuskę na zbroi.

Lecz wszystko minęło. Ojciec w grobie, a po latach wielu myśl zwraca się do dni wspólnie spędzonych na obczyźnie:

Święte godziny życia, kiedyśmy to byli
Tak bardzo nieszczęśliwi—a tacy szczęśliwi!
...Zdaje się, że to wczoraj. Obraz nic na krasie
Nie stracił; dla nas niema czasu, ni przestrzeni;
My zawsze tamtoceśni, choć rozdarci w czasie —
Blizcy, chociaż całemi światy rozdzieleni.

Dramat składa się z prologu, z pięciu aktów i epilogu. Występują w nim, prócz Wandy, Rycerki Lechickiej, Wodzowie i Wojownicy Lechicki, Kapłan Lela, Starcy Narodu, wreszcie Białokieżnice czyli „Białe ksienie” i Czarnokieżnice czyli „Czarne ksienie”; ze strony niemieckiej: Rytygier z wodzami i wojownikami, najwyższy kapłan i brat jego Hakon, Świętosław, wydziedziczony książę Karency na Rugii; z obu stron wreszcie: kapłani, posłowie, strażnicy, giermkowie, lud.

Prolog umieściła poetka w Dolinie Kościelskiej. Wanda w tem uroczysku górskiem, otoczona Białemi ksieniami, dotrzymuje ślubu dożgonnego dziewictwa, zbierając znoje i rozkosze nierozdzielnej pożycia z dziką naturą. Dobrze jej tu; „a jednak czasem rwąca chwyta ją pokusa.”

Zejsć do żywych i błysnąć takim wielkim czynem, By ojciec z grobowego zerwał się posłania I nazwał mnie, nie córką, ale trzecim synem.

Właśnie zjawia się poselstwo z wodzów wojowników i kilku starców i wzywa ją na tron do Krakowa. Co się stało? Brat zabił brata i poszedł na wygnanie; korona spada na siostrę. Wanda zostaje księżną lechicką i chrobacką. Odechodząc w towarzystwie posłów i dobrych panów woła:

Skończył się dla mnie ranek życia boski

i już przeczuwa wszystkie walki i cierpienia swego południa, których jej nie poszczędzą Czarne Ksienie. Najstraszniejsza z nich, Piorunna, za oddalającym się orszakiem rzuca groźbę tragiczną. W owych błogosławionych czasach, na owym uroczym świecie poetycznej ułudy Białe Ksienie mogą towarzyszyć swej dziewczęce i doprowadzić ją aż pod mury Krakowa. Jeszcze ojciec Wandy, wielki Krakus, opiekę im nad nią powierzył.

Upływa lat siedm. Pod bramami Krakowa na wiecowym placu, pod rozłożystym dębem siedzi Wanda, a po obu jej stronach Dziewice Rycerki. Przez te siedm lat ubiegłych od prologu

Świat ujrzał cuda odwagi dziewczęcej
Najej (Wandy) sztandarze sto wieńców powiewa,
Drżą wrogie ludy, i niejedna dziewa
Mniej wiosen, jak zwiędztw liczy.
Orlicom orły dziwią się zazdrośnie;
Kraj swe granice zwierza ich obronie...

Gdzie są takie orlice, tam jest już i odrazu gotowa emancypacja, najsilniej zaś wyraża się we Właście, Czeszcze z rolu. Miarkuje ją Wanda przy pomocy Tomiły—bardzo mile zarysowującej się olbrzymki. Tamta chce iść do szturm i podbić ród mężki i w niewolę obrócić; te pragną spokojnej i wytrwałej pracy dla zyskania, nie monopolu, ale uczestnictwa w ogólnem gospodarstwie. Wanda mówi:

...Sierp wojowniczy

Sama w rękę wam dałam, ach, nie na to przecie
By was do krwi zaprawić, podciąć kwiat słodyczy
I piersi wasze *nalat*, chuciami zdobyć;
Lecz na to, abym kiedyś — gdy snopy zwiążecie,
Mogła, jak przodownica, wiankami krasiwa,
Postawić was przed mężów dożytkowem kołem
I odezwać się do nich, ze śmielszym już czołem:
„Tym, które żęły z wami, oddajcie część żniwa.”

Jest w tem żądaniu sprawiedliwość; tylko, że ani takiego sierpa, ani takiego żniwa, a więc i takiego żądania rzeczywistość nie zna—jeżeli pominiemy Herodotowe amazonki, Walkyrye germańskie i libuszowe olbrzymki, jako wytwory wyobraźni, z niedającego się dziś już ująć ani określić materiału prawdziwego życia powstałe. Z błędnego pomysłu, dającego Wandzie za towarzyszkę i współpracownicę w sławie, nie mężczyźni, ale kobiety—logicznie wysnuwają się żądze emancypacji; błąd jednak rodzi błąd, a sztuczność pleni się i szerzy coraz dalej. Wanda musi tłómaczyć Właście:

Z kimże nam każesz walczyć? Tu ojcowie czczeni,
Tam drodzy małżonkowie, bracia, narzeczeni;
Choćbyśmy miały serca ukute z kamieni,
Na sam ich widok, rzewność wszechmogąca
Mieczy nam z rąk powytrąca.

Tak byłoby niezawodnie. Ale podczas siedmioletniej gospodarki olbrzymek, gdzież byli owi drodzy małżonkowie, bracia, narzeczeni; gdzie była siła mężka; co robili wodzowie i wojownicy—że ze się takie orlice niekobiety uchować mogły? Dla Wandy olbrzymki tej miary potrzebnymi nie były. Wystarczył jej dwór niewieści, wystarczała opieka, nie olbrzymek, ale matron, a ramię rycerzy. Poetka widocznie dała się unieść prądowi podań czeskich. Wprowadzenie Własty równie srogiej, okrutnej, krwiożerczej, jaką była Własta po śmierci Libuszy, umacnia nas w tem domniemaniu. Bo trzeba wiedzieć, co to było za ziółko ta Własta, jaki straszny bicz boży na mężczyzn! Dziś jeszcze po upływie tysiąca stu lat dreszcz przejmie każdego z nas, z płci brzydszej i gorszej—gdy sobie wspomnimy ten zamek warowny nad Wełtawą, ten zakon, w którym każda nowa zakonnica ślubowała zabić męża, narzeczonego lub brata, to zbiorowisko kobiet wypowiadających walkę na śmierć i życie mężczyznom. Ksienią właśnie tego zakonu była Własta z Wandy. W podaniach czeskich padła ona w boju, gdy gniazdo okrucieństwa burzono; ale wskreszenie jej i przeprowadzenie do Krakowa nie było trudnem—dla poezji legendowej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Pomnik Kraszewskiego, w kościele Ś-go Krzyża, gdzie zmarły był chrzczonym, pomieszczony

zostanie w pierwszej arkadzie nawy kościelnej. Będzie on z czarnego dębickiego marmuru z popiersiem Kraszewskiego z brązu. Figury symboliczne również z brązu: z prawej strony postać niewieścia, przedstawiająca światło, czy sztukę może, wieńczy popiersie, z lewej postać mężka, symbolizująca pracę. Rysunkowy projekt pomnika już wykończył p. Jan Kryński, rzeźbiarz, któremu wykonanie powierzono zostało. Pomnik ten będzie zawdzięczało miasto nasze staraniom zacnego Adama Pługa, wiernego przyjaciela Kraszewskiego.

— Salon artystyczny otwarty przez spółkę warszawskich malarzy i rzeźbiarzy będzie stanowił nieustającą wystawę dzieł artystów stowarzyszonych a zarazem pewnego rodzaju sklep artystyczny, gdzie publiczność zaopatrywać się może w drobne przedmioty artystyczne i czynić zamówienia na nie. Malarstwo religijne i przedmioty użytku kościelnego są tu najszerzej uwzględnione.

— Pracownia odnawiania starych obrazów i portretów otworzoną została przy ulicy Wareckiej Nr. 3. pod kierunkiem znanego malarza Tytusa Maleszewskiego.

— Dla uczczenia pamięci Anczyca ogłoszonym został w Krakowie przez p. Walerego Rzewuskiego konkurs na sztukę ludową. Ma ona być przynajmniej trzyaktową; nagroda 225 zł. reńskich. Na sędziów zaproszonymi zostali pp.: Asnyk, Bałucki, Bliński, Belcikowski, Kleczkowski, Lubicz i Sarnecki. Termin nadsyłania rękopism do księgarni Gebethnera w Krakowie oznaczono po dzień 1 Stycznia 1889 r. Sędziowie wybierają z nadesłanych sztuk dwie najlepsze i oddadzą je ostatecznego rozsądzenia publiczności przez wystawienie ich na scenie teatru krakowskiego. Wyrok ujawnić się ma za pomocą kartek, wrzuconych do puszek, na ten cel przy wyjściu z teatru umieszczonych.

— Wystawa archeologiczno-artystyczna w Nowym Sączu mieszcząca się w lokalu tamtejszego stowarzyszenia gimnastycznego *Sokoła*, a urządzona za staraniem i pomysłem notariusza Lipińskiego, obejmuje przeszło tysiąc bardzo zajmujących okazów.

— Towarzystwo opieki prawnej w Poznaniu, istniejące od d. 21 Lipca 1884 r., a powstałe z inicjatywy najszlachetniejszych obywateli tamtejszych, z celem bezpłatnej obrony klas ubogich i mniej wykształconych w zatargach z urzędnikami pruskimi, przestało istnieć.

— Wydawnictwa jubileuszowe, poświęcone opisowi darów otrzymanych przez Papieża, mieści w pierwszych swych zeszytach wiernie przedstawioną podobiznę obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

— Pamiątniki zmarłego cesarza Fryderyka, które pisał je oddawna, a w ciągu ostatniego roku życia uzupełniał z myślą uczynienia z nich swego testamentu politycznego, zostały przez umierającego powierzone ręką wierniej jego małżonki Cesarzowej Wiktorii. Część tych pamiątek ma się znajdować w rękach królowej Wiktorii.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander.

TREŚĆ: Pogawędka. — Człowiek uczciwy, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Na starym gruncie, powieść, (dokończenie), przez M. Febroniusza. — Nowiny paryżkie. — Przegląd piśmienniczy, przez St. Krzemińskiego. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander. — 28 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk i Litografia S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 29 Іюня 1888 года.